WOLNOMYŚLICIEL POLSKI



MIESIĘCZNIK

ROK I WARSZAWA—1928—PAŹDZIERNIK 5 NUMER

REDAGUJE KOMITET.

Kocioł i graca.

Uwagi na marginesie procesu marjawickiego w Płocku.

Od paru tygodni toczy się przed Sądem Okręgowym w Płocku proces przeciwko marjawickiemu arcybiskupowi M. Kowalskiemu, oskarżonemu o różne występki na tle seksualnem, między innemi o gwałcenie i zmuszanie do rozpusty nieletnich dziewczynek, wychowanek klasztoru marjawickiego.

Zanim przyjdziemy do ostatecznej konkluzji w tej sprawie, pozwolimy sobie przypomnieć, że sekta marjawicka powstała w początkach bieżącego stulecia, kiedy we Francji zrodził się wśród księży katolickich ruch tak zwany modernistyczny, dążący do uzgodnienia dogmatów katolickich z nowoczesną wiedzą. Moderniści zatem byli to ludzie, którzy chcieli galwanizować rozkladającego się już od szeregu wieków trupa katolickiej dogmatyki, i zatruwającego swoimi wyziewami obszary współczesności.

Marjawityzm wyszedł również z łona katolickiego kleru i tem się tylko różni od samego katolicyzmu, że nie uznaje papieża, podobnie jak kościoły reformowane, i używa w liturgji języka polskiego, zamiast niezrozumiałej dla ogółu „wiernych" łaciny. Pozatem przesadny kult Marji (stąd ich nazwa) i eucharystji, (fetysza w kształcie krążka wyciętego z opłatka, jako symbolu Chrystusa), niczem właściwie nowem nie jest. Ruch ten, którego ośrodkiem stał się Płock, spotęgował tylko różne odwieczne pogańskie przesądy, wchłonięte w ciągu wieków poprzednich przez ceremonjał katolicki i tkwiące w nim do dnia dzisiejszego. Nie był on zatem postępem w stosunku do istniejącego w katolicyzmie stanu rzeczy, lecz raczej jego cofnięciem.

Jest to zrozumiałe. Marjawityzm, jako ruch religijny, nie mógł przecież liczyć na inteligencję, obojętną dla tego rodzaju zagadnień, jako na kadry swoich wiernych, lecz jedynie i wyłącznie na ciemne masy ludowe. Trzeba więc było tym masom podbijać tradycyjnego bębenka wyznaniowego i nęcić je popu-

larnym w Polsce kultem dla najświętszej panienki i symbolu jej syna. Nadto księża marjawiccy postanowili nie brać żadnych opłat za t. zw. posługi religijne i utrzymywać się z pensji państwowej lub parafialnej. Częściowo starali się nawrócić do prostoty pierwotnego chrześcijaństwa i jego komunistycznego charakteru. Przywdziali białe habity zakonne z wyszytą monstrancją na piersiach i zamiast butów nosili trepki. Od pewnej prostoty w ubiorze zowią ich również mankietnikami, ponieważ nie noszą sztywnych mankietów u koszuli, lecz tylko włóczkowe zarękawki.

Marjawici założyli cały szereg nieźle prowadzonych zakładów dobroczynnych, z których pierwszy powstał w Płocku. Na jego czele stała niejaka M. Kozłowska, jedna z zasłużeńszych propagatorek marjawityzmu wśród kobiet i uważana przez sekciarzy za świętą, którą nazywali „mateczką“. Od nazwiska owej Kozłowskiej sfery katolickie ochrzciły marjawitów kozłowitami.

Epitet ten miał na celu ośmieszenie sekty, a tem samem odstręczanie ciemnych mas katolickich od przechodzenia do marjawitów i paraliżowania akcji propagandowej nowym herezjarchom. Mimo to liczba marjawitów już przed wojną dosięgała dwudziestu tysięcy. Liczba ta po wojnie nie o wiele się zwiększyła, gdyż marjawityzm zastygł w rozwoju.

Zerwawszy z papieżem, marjawici nie zdecydowali się jednak na krok stanowczy w sprawie zerwania z bezsensownym i sprzecznym z naturą ludzką celibatem. Bezżenny kler stał się w swoim czasie potęgą polityczną papiestwa. Widocznie i marjawitom o tę potęgę musiało chodzić w założeniu, skoro tego papieskiego zarządzenia co do celibatu nie zreformowali lub nie odrzucili. Cała zmiana polegała na tem, że zamiast żyć w nieślubnych związkach z gospodyniami, jak to czynią księża katoliccy po parafjach, księża marjawiccy pozawierali z zakonnicami marjawitkami „śluby mistyczne“, z których jednak rodziły się całkiem niemistyczne dzieci, wychowywane następnie w zakładach marjawickich. Przyczem niektórzy księża marjawiccy, a w ich liczbie sam „arcybiskup“ Kowalski mają tych żon po kilka. Do tego należy dodać jeszcze i inne zarzucane im obecnie wybryki natury erotycznej, będące zboczeniem t.zw. „cnoty czystości“, których opinja publiczna nie może tolerować. Mimo to różne matoły nie mogą pojąć żadną miarą, że wszelkie pogwałcenie praw natury nigdy nie uchodzi bezkarnie, że prawa te będą zawsze starały się dojść do głosu i zemszczą się w końcu na swoim gwałcicielu w tej czy innej formie. A celibat jest właśnie takiem pogwałceniem natury.

Nie mamy tu zamiaru kreślenia historji ruchu marjawickiego w Polsce, dodamy tylko, że średniowieczny mistycyzm, pełen dziwacznych praktyk, widzeń i objawień, który sekciarze marjawiccy chcieli wskrzesić w naszych czasach, i uczynić z niego siłę atrakcyjną (przyciągającą) i rozpędową dla swego ruchu, nie dał się utrzymać na dalszą metę — nawet w tak ciemnym i kulturalnie zacofanym kraju, jak Polska. Mistycyzm

ten nietylko zawiódł, ale bardzo szybko zwyrodniał. Zamiast być czynnikiem zapładniającym uczucie i wyobraźnię prozelitów nowego wyznania, przerodził się w niebezpieczną pod względem społecznym histerję, którą kler marjawicki, a zwłaszcza sam „arcybiskup“ Kowalski, zaczął wyzyskiwać w najbezczelniejszy sposób, niczem nieustępujący sposobowi, stosowanemu przez kler katolicki do swoich wiernych papieżowi i łacińskiej mszy owiec i baranów.

Czytając zeznania świadków w tym procesie zarówno oskarżenia, jak i obrony, niewiadomo, co wpierw podziwiać i nad czem się litować: czy owo szczwane spryciarstwo prowodyrów ruchu, (przyznających otwarcie, że potrzebują „dużo pieniędzy“), z ich braniem naiwnych wyznawców na różne „mistycyzmy“, objawienia i bezpośrednie komunikowanie się z bogiem, — czy też ową przeraźliwą bo bezgraniczną naiwność i ciemnotę polskiego chłopa i robotnika.

Dowodzi to tylko jednego, że średniowiecze nie zostało jeszcze z Polski całkowicie wymiecione i pomimo, że hale, doliny i zbocza toną w blaskach wiosennego słońca, w szczelinach i rozpadlinach górskich leżą jeszcze grube zwały zeszłorocznych śniegów i lodów, osłaniane troskliwie kleszymi rewerendami i cadyckimi chałatami. Ale z tych śniegów i lodów, przyczajonych po szczelinach górskich, nie powstanie już dawny lodowiec, któryby na przeciąg nowego okresu geologicznego legł martwym bezwładem na życiu Europy i zapędził ją z powrotem do kościelnej kruchty. Ten nawrót dawności w jej niszczycielskiej, despotycznej postaci nie jest już dziś do pomyślenia. To też pomimo pozorów swej tu i owdzie czerstwości, religje przeżyły się, skostniały i nic już nie jest w stanie je ożywić. Ażeby jednak trupi jad tego rozkładającego się systemu umysłowego usunąć jaknajprędzej z oblicza ziemi, należy zacząć leczyć systematycznie ludzi z obłędu i histerji religijnej, zwłaszcza, że te wszystkie kanoniczne i kościelne hece są dla ludzkiej etyki najzupełniej zbędne.

Toczący się obecnie proces płocki został wszczęty z poduszczenia kleru katolickiego, zazdrosnego o swój monopol panowania „nad umysłem polskim“ (Goszczyński) i chcącego za wszelką cenę zdyskredytować i unicestwić współzawodnika. Jako „spiritus movens“ (dosł.: duch poruszający) całej tej sprawy wymieniono w procesie nazwisko biskupa Galla i niejakiego Zarębskiego, który zawiódł się materjalnie na marjawitach, albowiem nie chcieli mu oni, czy też nie mogli płacić za dostarczone towary. Ponieważ jednak wszędzie, gdzie cuchnie padliną, gromadzą się grabarze, hjeny i szakale, zaczął się również krzątać około tej sprawy niejaki dr. Skrudlik, którego nazwisko już niejednokrotnie figurowało na łamach niektórych pism, i zawsze w niezbyt ciekawych okolicznościach. Wydrukował on nawet i puścił w obieg straganiarski sensacyjną broszurę o „zbrodniach marjawickich“.

Czytelnicy „Wolnomyśliciela Polskiego“ znają dobrze nasze

poglądy na religję i na żyjący z niej kler. Dalecy tedy jesteśmy od utrzymywania, że zbrodnie, zarzucane marjawitom, tylko pomiędzy niemi się dzieją. Przeciwnie, jesteśmy zdania, wygłaszanego przez uczestniczkę heinowskiej „Dysputy“, że czuć... obie strony. I aby tego dowieść, pozwolimy sobie zacytować niektóre historyczne fakty z świątobliwej przeszłości wyznawców celibatu i czystości zakonnej, którzy dziś z taką furją rzucili się płockich „zbrodniarzy“.

Kronikarz polski z XIV wieku, Janko z Czarnkowa, archidjakon poznański i podkanclerzy Kazimierza Wielkiego przekazał potomności między innemi takie wzory kapłańskiej czystości do naśladowania:

Paweł z Przemankowa, biskup krakowski, cały harem na swym dworze utrzymywał. Wykradł mniszkę z klasztoru w Skale, aby ją do tego haremu włączyć i chuciom swym zadośćuczynić. Jeden z jego następców, Jan Muskata, rabuś, łupieżca i cudzołoźnik, okradał kościoły, aby mieć za co opłacać nałożnice. Mikołaj z Kórnika, biskup poznański, był pijakiem, tarzającym się w błocie plugawej rozpusty, któremu z powodu grzechów, przeciwnych naturze, język wygnił. Zawisza, biskup krakowski, znany rozpustnik, który zapuściwszy się na stóg siana za jakąś wiejską dziewczyną, został widłami zrzucony przez jej męża czy ojca i tak ciężkich doznał obrażeń, że nazajutrz przeniósł się na „tamten świat“.

Henryk, biskup bazylejski, żyjący w czasach wielkiego przestrzegania celibatu, pozostawił po sobie 20 dzieci, a inny Henryk, biskup z Leodjum, za niemoralne życie został złożony z urzędu, zamordował swego następcę i pozostawił 61 sierot. W XI wieku, zakonnice w Bambergu, z powodu skąpstwa swej przełożonej, płatną miłością zarabiały na chleb codzienny.

O życiu zakonników i zakonnic, sam papież Grzegorz XII (1406 — 1415) tak świadczy: „zakonnicy wstępują do klasztoru razem z utrzymankami, razem z niemi żyją i płodzą dzieci; także zakonnice oddają się rozpuście z prałatami, mnichami i księżmi z okolicy, i z tych stosunków mają dzieci, synów i córki. Synowie zostają mnichami, a córki mniszkami w tymże klasztorze, a co gorsza, że wiele zakonnic spędza płód lub nawet niemowlęta, już przyszłe na świat, zabija. (J. Ptaśnik „Kultura wieków średnich“. 1925.)

Papież Inocenty VIII (1484 — 1492) był pierwszym, który uznał swoje dzieci. On i syn jego Franciszek stworzyli „Bank Łaski Świeckiej“, w którym za wysoką opłatą można było wywykupić się od kary za zbrodnie.

Papież Aleksander VI (1492 — 1503) miał pięcioro dzieci i kilka kochanek. Brata kochanki swojej zrobił w trzynastym roku kardynałem. Urządzał orgje w Watykanie, na których tańczyło po 40 nagich baletnic, a współcześni utrzymywali, że miewał stosunki z własną córką, Lukrecją. Truł bogatych kardynałów, ażeby zagarniać ich majątki. Celem podniecania swoich zmysłowych chuci kazał przed oknami swego pałacu dopuszczać

ogierów do klaczy. Ten wzorowy namiestnik chrystusowy został otruty przez własnego syna, który chciał otruć dwóch innych bogatych kardynałów (Chłędowski).

Wrócimy jednak do naszych stosunków, bo inaczej musielibyśmy powtórzyć całe dzieje papiestwa i katolicyzmu.

Fr. Karpiński w swoich pamiętnikach powiada, że biskupi trzymali publicznie nałożnice, a Korzon w „Wewnętrznych dziejach za Stanisława Augusta“ tak się o „potrzebujących pieniędzy“ infułatach katolickich, a szczególnych „patrjotach“ polskich wyraża:

Prymas Łubieński brał pieniądze od Repnina, posła rosyjskiego, po 18.000 dukatów. W czasie bezkrólewia utorował drogę do gwarancji rosyjskiej. Podoski, twórca konfederacji radomskiej został prymasem na żądanie Repnina. Ostrowski, biskup kujawski, brał od Katarzyny po 3000 dukatów rocznie, radził Repninowi, aby uwięził Sołtyka, Rzewuskiego i Załuskiego, co też zostało wykonane. Michał Poniatowski, brat króla, wystarał się o biskupstwo krakowskie, najbogatsze w Europie po teledańskiem i strasburskiem. Podczas powstania kościuszkowskiego wysłał list do królewicza pruskiego ze wskazówkami, jak ma zdobyć Warszawę. List ten przejęto i tłum warszawski wystawił dlań szubienicę, co widząc ów zacny „patrjota“ otruł się. Młodziejowski, kanclerz i biskup poznański, za 1.000 czerwonych złotych opowiadał posłowi rosyjskiemu, co się dzieje u króla na tajnych naradach. Wziął pieczęć po Zamoyskim, aby nią pieczętować traktaty rozbiorowe. Brał od Katarzyny po 3.000 dukatów rocznie. Massalski, biskup wileński, w czasie sejmu czteroletniego był narzędziem Stackelberga, posła rosyjskiego, i zasłużył sobie na miano czwartej potencji rozbiorowej. Za wysługiwanie się Katarzynie dostał dobra Lachowickie, dające dochodu 300.000 zł. Z litewskiej kasy edukacyjnej skradł 300.000 złotych. Skończył na szubienicy. Skarszewski, biskup chełmski, na sejmie czteroletnim bronił interesów kleru, a nie Polski. Potem poszedł na usługi Targowicy. Wleczonego przez tłum na szubienicę, Kościuszko zmienił karę śmierci na dożywotnie więzienie. Kossakowski, biskup inflancki, intrygował na rzecz Katarzyny. Ogłosił w Wilnie swego brata, jenerała rosyjskiego, hetmanem wielkim litewskim. Zginął na szubienicy. Rybiński, biskup kujawski, był wprawdzie przeciwnikiem rosyjskim, ale za to brał pensję od Fryderyka Wielkiego.

Do tego zacnego pocztu dostojników kościoła katolickiego w Polsce trzeba dodać skromne nazwisko Macocha jasnogórskiego, który tak gorliwie wypełniał zakonne śluby ubóstwa i czystości, że okradł klasztor, żył ze swą bratową, męża jej zabił, a zwłoki jego poćwiartował i utopił, (to nie była „zbrodnia“, ponieważ dokonał tych szlachetnych czynów zakonnik katolicki) i ks. Kominka z Czerniakowa, który miewał z kochankami stosunki w zakrystji kościelnej i używał przy tem szala, przez który księża biorą do rąk monstrancję.

Co wobec tego znaczą „mistyczne małżeństwa“ księży marjawickich, do których się oni otwarcie przyznają?

Powiadacie jednak zacni oskarżyciele „arcybiskupa“ Kowalskiego, że marjawityzm jest plugawy, ponieważ „mateczka“ Kozłowska rządziła ruchem marjawickim. A czy zapomnieliście o okresie pornokracji w dziejach swoich namiestników chrystusowych (896—963), kiedy to osławione wszetecznice, jak obie Teodory i Marozia, wprowadziły na stolec piotrowy, aż coś dwudziestu papieży? i czy zapomnieliście o papieżycy Joannie, która zajmowała tron papieski w IX wieku i rządziła kościołem przez półczwarta roku, a w czasie procesji, spadłszy z muła, porodziła dziecko, co ówczesne dewotki uznały za cud?

Te oto na chybił trafił wybrane nazwiska i fakty pozwalamy sobie przypomnieć gwoli zwróceniu wam uwagi, że nie godzi się rzucać kamieniem na przeciwnika, skoro ma się tego rodzaju tramy we własnem oku. Trochę taktu i skromności — nawet i infułatom przydać się na coś może. I niech na przyszłość katolicki kocioł nie przygania marjawickiej gracy, bo mu to może nie wyjść na dobre.

Henryk Wroński

Zacięte konflikty, oceniane ze stanowiska wolnomyślicielskiego czyli objektywnego.

III.

NIETYKALNOŚĆ SUWERENNYCH AWANTURNIKÓW.

Wyobraźmy sobie, że, czy to na zebraniu towarzyskiem w domu prywatnym, czy też na jakiemś posiedzeniu publicznem, niektórzy z obecnych zaczynają się zachowywać niesfornie i skandalicznie, wyrzucać z siebie obelgi, hałasować, urządzać kocią muzykę, jednem słowem uziemożliwiać spokojne prowadzenie towarzyskiej rozmowy lub też dyskusji o wspólnych sprawach. Co spotka takich łobuzów i awanturników? Oczywiście usunięcie z towarzystwa, wymówienie znajomości, wykreślenie z liczby członków. Ani spółka handlowo-przemysłowa, ani żaden klub nie pozwoliłyby na zastąpienie ludzkiej rozmowy ryczeniem i szczekaniem.

Na wiecach politycznych zdarzają się wprawdzie rozmaite dzikie wybryki i występy warcholskie i łobuzerskie; ale na to znajduje się lekarstwo w postaci wkroczenia władz bezpieczeństwa publicznego, aresztowania warchołów i niepoczytalnych fanatyków, sadzania ich do kozy i oddawania pod sąd.

Najwyżsi urzędnicy państwowi, ministrowie i inni dygnitarze panują nad sobą i, kiedy ich coś razi i obraża, nie wpadają we wściekłość i nie wrzeszczą z pianą na ustach. Głowy państwa, czy to wybierani prezydenci, czy to monarchowie konstytucyjni, ba, nawet samowładcy, monarchowie absolutni i o ile

nie dostają obłędu, pamiętają o tem, że pewna przyzwoitość i ich obowiązuje. Jeżeli stają się niepoczytalni, grozi im opieka, a nawet przymusowa abdykacja i uśmiercenie. Historja dostarcza nam wielu przykładów smutnego losu monarchów, którzy sobie zanadto pozwalali. Dość wskazać na carów rosyjskich.

Wogóle zarówno władze wykonawcze, jak i sądownicze przestrzegają starannie prawideł „dobrego wychowania". Nie ryczą, nie kwiczą, nie szczekają, nie gwiżdżą, nie urządzają kocich muzyk, nie bodą, nie kąsają, nie wierzgają.

Jedynie tylko władzom prawodawczym wolno stanowić wyjątek i zachowywać się jak dwunogie bydło. Im bowiem przysługuje dziwny przywilej „nietykalności poselskiej". Za objawy dzikości, wściekłości i udanej lub też istotnej niepoczytalności grozi im co najwyżej usunięcie z sali obrad na kilka posiedzeń. Wygląda to po prostu na kpiny.

Zawodowy łobuz, chuligan i awanturnik, uniemożliwiający spokojną pracę prawodawczą i kontrolę nad postępowaniem władzy wykonawczej, nie traci przywileju nietykalności, gdy tymczasem w świetle zdrowego rozsądku za jedno tylko wystąpienie w charakterze wyjca i bydlęcia ryczącego i uruchamiającego syreny samochodowe powinienby być w tej chwili wyrzucony i raz na zawsze pozbawiony prawa uczestniczenia nietylko w pracach izb prawodawczych, ale także we wszelkich innych przyzwoitych towarzystwach.

Taki chuligan swojem zachowaniem się poniża parlament, rzuca ujemne światło na wszystkich swych kolegów i upoważnia do patrzenia na „suwerenów prawodawców" jak na bandę rozwydrzonych łobuzów i smarkaczów.

Dotychczasowe praktyki parlamentarne czyli gadalniane równają się uprzywilejowaniu dzikości, gburowatości, wyłamywania się zpod przepisów i wymagań cywilizowanego współżycia ludzkiego. Dla osobników, obniżających siebie do poziomu bydląt dwunogich, nie powinno być miejsca w izbach prawodawczych, których nie wolno utożsamiać ani z szynkiem, ani z jakąkolwiekbądź spelunką.

Nietykalność osobników, bądź to z instynktami zbrodniczemi i przeciwspołecznemi, bądź też niepoczytalnych, urąga zdrowemu rozsądkowi. Niebezpieczny furjat z objawami delirium trenens sam siebie wyłącza za nawias wszelkiego cywilizowanego zbiorowiska ludzkiego, a do tego rodzaju zbiorowisk ludzkich należą chyba także izby prawodawcze.

Dziś, po tylu występach błazeńskich i łobuzerskich w izbach prawodawczych różnych państw europejskich, parlamentaryzm upadł bardzo nizko. Ażeby go ratować, należałoby przedsięwziąć energiczne środki zapobiegawcze przeciwko rozwydrzeniu i zdziczeniu szanownych „prawodawców".

Podobno w parlamencie berlińskim kałamarze i inne przedmioty ruchome na ławach i przy ławach poselskich zostały przymocowane do tych ław i stołów za pomocą łańcuchów, a to dla uniemożliwienia rozbijania tych ruchomych przedmiotów

o głowy przeciwników partyjnych. Należałoby też zapobiegać puszczaniu w ruch gwizdawek, trąb, syren samochodowych i innych instrumentów do urządzania kociej muzyki. W tym celu szanowni prawodawcy powinni być poddawani rewizji osobistej zarówno przy wejściu do sali posiedzeń, jako tez przy wyjściu z niej. Znalezione zaś przy nich narzędzia figlów smarkaczowatych powinny ulegać bezwzględnej konfiskacie.

Następnie suwerenni prawodawcy powinni przestrzegać ogólnie obowiązujących w społeczeństwach wyszłych ze stanu dzikości i barbarzyństwa zwyczajów i przepisów przyzwoitości. Ponieważ jednak regulamin izb poselskich pozwala „prawodawcom“ zachowywać się bezkarnie po łobuzowsku, więc należałoby zmienić ten urągający zdrowemu rozsądkowi paragraf regulaminu. Wątpić atoli należy, czy sami „prawodawcy“ zechcieliby pozbawić się tego nie przysługującego nikomu oprócz nich przywileju. Ale od czegóż znowu pełnomocnictwa prezydenta Rzeczypospolitej? Dla dobra Rzeczypospolitej dekret prezydenta powinien przypomnieć suwerenom, że ich także obowiązują przepisy przyzwoitego zachowania się. Jak nie wolno przychodzić na posiedzenia sejmu i senatu bez spodni, tak też nie wolno tam ryczeć, kwiczeć, wyć, gwizdać, łajać i w jakikolwiekbądź sposób obrażać innych obecnych na posiedzeniu.

Parlament nie jest ani plugawym szynkiem, ani zbiegowiskiem andrusów, ani też domem warjatów z furjatami na czele. Istnieje on dla spokojnego omawiania i roztrząsania spraw publicznych.

Opojom, wściekłym, szaleńcom, awanturnikom zakłócającym spokój nie miejsce w ciele prawodawczem. Precz z przyzwoitego towarzystwa!

Niechby sprobowali podobnych praktyk czy to w Rzymie, czy też w Moskwie. Nie robionoby tam sobie z nimi ceremonji.

A więc jeszcze raz precz bez różnicy wieku, płci, wyznania, narodowości i przynależności partyjnej. Tylko zachowując się przyzwoicie ma się prawo do wcale przyzwoitego wynagrodzenia, do darmowego jeżdżenia pierwszą klasą we wszelkich pociągach, do „nietykalności“ oraz do rozmaitych innych ulg i przywilejów.

Zastrzegam się, że powyższe uwagi stosują się nietylko do sejmu polskiego, ale do wszystkich „gadalni", w których odbywają się burdy, hałasy i bijatyki. Sesja obecnego parlamentu polskiego rozpoczynała się w takiej właśnie atmosferze. Na szczęście, dzięki zarówno umiejętnemu kierownictwu, jako też przewadze zdrowego rozsądku nad impresjonizmem i wybuchowością u znacznej większości członków tej instytucji, owe warjacko-szynkowniane sceny już się wogóle nie powtarzały, i ostatni parlament polski potrafił pracować z pożytkiem dla państwa i społeczeństwa.

W każdym razie na nazwę „sejm ladacznic“ nie zasługuje ani sejm ostatni, ani żaden z poprzednich. Największe nawet

zasługi wybitnych jednostek nie upoważniają ich do ciskania takich ogólnikowych obelg na całe zbiorowiska ludzkie. Ogół nie ponosi odpowiedzialności za winy jednostek. Choćby nawet $^{9}/_{10}$ czyli 90% sejmu stanowiły „ladacznice”, to jednak nie wolno nazywać całego sejmu „sejmem ladacznic“.

Psychologicznie jest całkiem zrozumiałe, że dana jednostka, która tyle ucierpiała skutkiem napaści i oszczerstw ze strony całych stronnictw sejmowych, chciała ulżyć sercu i odwzajemnić się według gadki „pięknem za nadobne“. W oświadczeniach tej wybitnej jednostki imponuje mi bezwzględna szczerość i zerwanie z obłudną, wykrętną dyplomacją, zarówno w polityce zagranicznej (np. w sprawie litewskiej), jako też w polityce wewnętrznej. Ale szczerość i zerwanie z judaszowską dyplomacją nie wyklucza wcale przyzwoitości i powściągliwości języka. Na grzeczności nikt nigdy nie stracił. Brutalne, gburowate wyrażenia osłabiają siłę argumentacji. Francuzi powiadają: tu te faches — tu as tort (gniewasz się — nie masz słuszności). Panowanie nad sobą, zachowanie zimnej krwi i unikanie wybuchowości nierównie więcej obowiązują wybitne jednostki, aniżeli tłum, choćby to był nawet tłum suwerennych prawodawców. Im człowiek wyżej stoi, tem bardziej obowiązuje go grzeczność, panowanie nad sobą i wstrzymywanie się od niepoczytalnej wybuchowości. Dziecko bije stół, o który się uderzyło; człowiek rozsądny a tem bardziej człowiek wybitny, o ile nie jest zamroczony chwilowym paraliżem myślenia, rozumie, że stół nie może ponosić żadnej odpowiedzialności. Rozsądek nie pozwala nam gniewać się na psa szczekającego. Robi się zaszczyt oszczercy, jeżeli stawia się go ze sobą na równi i używa się jego metod.

Różne zalatujące kordegardą a nie tak łatwo dające się wykonać propozycje, związane z organem siedzenia, nie przynoszą zaszczytu ustom, z których nieopatrznie wyleciały.

Sejm z r. 1919 był w swoim czasie traktowany z szacunkiem. Sejmowi z r. 1922 (oczywiście nie całemu, ale znacznej jego części), pozwalano bezkarnie urządzać wściekłą i bezustanną naganę na najwyższe władze państwowe. Była to bezwzględna tolerancja. Podobno „sejm ladacznic“ ma być charakterystyką właśnie tych poprzednich sejmów. Ale w takim razie są to „spóźnione żale, próżny gniew“, „musztarda po obiedzie“, „l'esprit d'escalier“.

Wyżej rozwodziłem się długo i szeroko, że przyzwoitość i prawidła dobrego wychowania obowiązują demokrację. Nie mniej, a nawet daleko więcej obowiązują one „autokratów“ i wogóle wszelkie jednostki, przeciwstawiające się tłumowi.

Puszczenie w kurs „sejmu ladacznic“ usprawiedliwiałoby ulotne słówka w rodzaju „ministerstwo ladacznic“, „rząd pachołków Rzymu“ i inne t. p. wymysły. Zarówno jedno, jak drugie byłoby niesprawiedliwością.

Nie ulega wątpliwości, że oczekiwania i nadzieje, związane z działalnością sejmów, zawiodły. Ale czy nie zawiodły także oczekiwania i nadzieje, związane z szumnie zapowiedzianą

„sanacją moralną“? Czy można uważać za „sanację“ coraz większe klerykalizowanie państwa, coraz większe oddawanie społeczeństwa w pazury klechów, rabinów, księży i ich różnowyznaniowych kolegów? Czy można uważać za sanację sławetny okólnik M. W. R. i O. P. o praktykach religijnych młodzieży szkolnej, okólnik nakładający kajdany na sumienia, okólnik, szczepiący i potęgujący obowiązującą w społeczeństwie obłudę wyznaniową? Czy można uważać za sanację coraz większe uniemożliwianie oddzielenia Kościołów od Państwa, a więc krzewienie w dalszym ciągu korupcji (zepsucia) i zgnilizny moralnej?

J. Baudouin de Courtenay

Quousque tandem?

(Jak długo jeszcze?)

Kiedy kilka lat temu poruszyłem w „Myśli Wolnej” sprawę ingerencji władz państwowych wobec krwawych przestępstw żydowskich „obrzezaczy“, opinja wielu, nawet postępowych, żydów wypowiedziała się przeciwko mieszaniu się policji do spraw czysto wyznaniowych.

W odpowiedzi oponentom zaznaczyłem, między innemi, że nie miałbym nic przeciw temu, gdyby żydzi pełnoletni poddawali się tej wspaniałej operacji, jeśli uważają ją za konieczną dla swego zbawienia. Uważałem jednak i nadal uważać będę za niedopuszczalne, aby to rytualne kaleczenie stosowane było do bezwolnych niemowląt, nie mających możności protestowania przeciwko popełnianej na nich zbrodni.

Niestety, dotychczas żądanie nasze nie znalazło echa w sferach, mających władzę i moc położenia kresu tej orgji szaleństwa. Nasze rządy dotychczasowe nie mają widać dość sił, aby przeciwstawić się fanatyzmowi żydowskich talmudystów. I oto do listy ofiar religijnego opętania dochodzą wciąż nowe nazwiska, a twierdza krwawego zabobonu wciąż stoi nienaruszona.

W ubiegłym miesiącu znów zarejestrowano troje dzieci, zmarłych po występnej operacji z powodu zarażenia się chorobą weneryczną od „obrzezacza“. Napisano kilka szumnych artykułów, wzniesiono parę niby—groźnych okrzyków i znów „spokój panuje w Polsce“, bo ostatecznie, kto się tam tak bardzo znów wzruszy, że parę żydziąt będzie mniej w Rzeczypospolitej Polskiej?

Znakomicie rozumiem, zdaje mi się, stanowisko pp. Ministrów. Kiedy szło o odpoczynek przymusowy sobotni czy niedzielny, społeczeństwo polsko - chrześcijańskie burzyło się przeciwko handlowi żydowskiemu w dni niedzielne, bo to uderzało wprost w kieszenie chrześcijańskich sklepikarzy. Wtedy sejm i ministrowie żądali, aby prawo było jednakie dla wszystkich „równouprawnionych obywateli“ Rzeczypos-

politej. Nie wolno żydom handlować w niedzielę, bo to jest niemoralne, albowiem razi uczucia etyczne ludności. Ale w obecnej sprawie nie można znów urażać uczuć religijnych żydowskich, bo przecież przy wyborach do sejmu nie wolno nie liczyć się z głosami fanatycznych żydów.

A u nas rządy mogą walczyć z objawami wszelkich wynaturzeń czy wykroczeń społecznych i politycznych: więzienia pełne są chwytanych na gorącym uczynku defraudantów, złodziei, awanturników, przestępców politycznych; słowem — sanacja na każdym kroku. Tylko jednej dziedziny rząd boi się tknąć: wyznań religijnych. Dość, by jakaś kapota czy sutanna osłoniła przestępstwo, aż bijące w oczy swą wyrazistością, a ręce władz, tak energiczne przed chwilą, opadają bezsilnie, jak wobec żywiołowej potęgi.

A rabini, znakomicie się orjentujący w nastrojach władz państwowych, wyzyskują tę niemoc na swoją korzyść w cudowny sposób. Pamiętamy wszyscy, jak przed dwoma laty zarząd cmentarza żydowskiego nie dopuścił do pochowania na swojem terytorjum spopielonych zwłok żyda, zmarłego w Gdańsku. Komisarz Rządu przysłał na cmentarz policję, by zmusić zarząd do wykonania swego polecenia, a rabini poruszyli swoje owieczki, i... siła państwowa uległa sfanatyzowanemu tłumowi wyznawców Jehowy i rabinatu. Spopielony obywatel polski wrócił do Gdańska, a Komisarz Rządu nazajutrz publicznie przeprosił kahał, że miał zamiar wtrącić się do „wewnętrznych spraw wyznaniowych".

C. d. n. *Józef Landau.*

Lekarze młodych dusz.

Klerykalna „Rzeczpospolita" chce widocznie iść w zawody z brukowemi „Czerwoniakami" w hurtowem dostarczaniu czytelnikom opisów morderstw i zbrodni, nie bacząc na to, że są one, między innemi, rezultatem kiepskiej roli wychowawczej kościoła katolickiego.

Któregoś dnia wziąłem do ręki „Rzeczpospolitą" (Nr. 244) i oto na jednej stronie znalazłem opisy: dwóch ojcobójstw, dwóch dzieciobójstw, takąż ilość morderstw pospolitych, napadu andyckiego, krwawej bójki i dwóch defraudacyj.

Czytanie prasy klerykalnej opłaca się jednakże, bo oto w tym komplecie zbrodni, nad któremi unoszą się opary krwi i na wspomnienie których zdrowy moralnie człowiek musi się wzdrygnąć, znalazłem opis „przestępstwa" w swoim rodzaju. Redakcja zaopatrzyła to w soczysty tytuł: „Truciciele młodych dusz" i celowo oczywiście, zamieściła między pospolitemi zbrodniami kryminalnemi.

Czytając ten opis, uradowałem się, jakbym znalazł lilję na bagnisku. Ta, z punktu widzenia „Rzeczpospolitej" zbrodnia polega na tem, że w pewnej miejscowości nad Bugiem znalazła

się para nauczycieli, którzy „pałają dziwną (!) nienawiścią do wiary katolickiej i kościoła i nienawiść tę starają się wpływem swym nietylko przeszczepić wśród okolicznych włościan, ale także (o zgrozo! przyp. redakcji) i wśród młodzieży w okresie szkolnym i podczas wakacji". Na czem więc ta nienawiść polega? Oto nauczyciel

na lekcji zapytuje dzieci, dlaczego zdejmują czapki wchodząc do mieszkania, oczywiście dzieci w sposób prosty odpowiadają, dlatego, że są obrazy św.

Na to pan kierownik ze śmiechem (co za łajdak! przyp. red.) mówi:

obrazy są to malowanki, Bóg zaś jest wymysłem ludzkim. Czapkę zdejmuje się ze względów hygienicznych. Przy każdej sposobności, nieraz poza godzinami szkolnemi, rozwija się przed młodą dziatwą teorję ewolucji i pochodzenia człowieka od małpy.

Dla korespondenta „Rzeczpospolitej" fakt ten jest smutny. Etyka ludzka bywa jednak różna, nawet pod tą samą szerokością geograficzną, bo fakt, że są nauczyciele, którzy z zapałem, nawet w godzinach pozaszkolnych, uprzystępniają dzieciom rzetelną naukę, wyzwoloną z księżych powijaków, i mają cywilną odwagę zwalczać przesądy religijne, — dla mnie jest wysoce radosny.

Okazuje się, że nie jest jeszcze zupełnie źle, bo są ludzie, co neutralizują zgubny, ogłupiający wpływ kleru na młode pokolenie! Postępowe nauczycielstwo jest przeciwwagą kleru w szkole, a działalność jego jest odtrutką na wyjałowienie umysłowe, jakie szerzy w szkolnictwie kler dzięki konkordatowi. Czas już najwyższy, by nauczycielstwo zabrało się do pielenia chwastów, jakie posiał kler, by nie wyrastały takie okazy, jak korespondent „Rzeczpospolitej", członek klerykalnej organizacji akademickiej „Odrodzenie".

Czas najwyższy, bo kler rządzi się, jak szara gęś w szkolnictwie niższem i średniem, i wdarł się w mury wyższych uczelni, gdzie w obawie, by młodzież akademicka, pozbawiona „opieki" duszpasterzy po wyjściu ze szkoły średniej—nie przejrzała na oczy, urządza coraz to nowe imprezy, w rodzaju tygodni „filozoficzno-religijnych" lub organizuje różne „Odrodzenia", sodalicje, towarzystwa misyjne, bractwa „Żywego Różańca" i t. p.

Na postępowem nauczycielstwie ciąży więc wobec przyszłości Polski poważny obowiązek. Są już jednostki, co, nie bacząc na teror kołtuństwa, sieją zdrowe ziarno nauki. Trzeba, by było ich więcej!

Tomasz Boruta.

Od Redakcji

Jak czytelnikom naszym wiadomo, sierpniowy nr. „Wolnomyśliciela Polskiego" został skonfiskowany przez Komisarjat Rządu, za 5 przysłów o mnichach i mniszkach. Ponieważ przysłowia te współpracownik nasz wziął z książki Fryd. Wendla p. t. „Die Kirche in der Karikatur", zwróciliśmy się do jej autora z prośbą o podanie nam źródła, z którego zaczer-

pnął wspomniane 5 przysłów. Sądziliśmy również, że może tą drogą uda nam się zdobyć pewien materjał do ewentualnej obrony przed sądem wrazie, gdyby prokuratorja zechciała wytoczyć nam sprawę sądową, choć zajęcie numeru nastąpiło przed jego rozesłaniem prenumeratorom i druk rozpowszechniony nie był.

Otrzymaną odpowiedź od ob. Wendla pozwalamy sobie podać poniżej do wiadomości naszych czytelników w polskim przekładzie, choć samych skonfiskowanych przysłów nie możemy już, rzecz jasna, powtórzyć drukiem.

Autor słusznie stwierdza, że nie wie „co ostatecznie ma na celu prześladowania przysłów, które w swoim czasie odegrały b. ważną kulturalno-historyczną rolę w duchowej walce ludu", a jedyne przypuszczenie, jakie może się nasunąć każdemu rozsądnemu i logicznie myślącemu człowiekowi, zawiera się w jego zapytaniu: „czyżby robiło się to poto, aby korygować historję i retuszować dzieje kultury?"

Niewątpliwie na to wychodzi. Lecz czyż się temu należy dziwić, skoro bezpośrednią pieczę nad wykonywaniem rozporządeń prasowych powierza się (jak to np. ma miejsce na terenie Warszawy) ludziom, ożywionym jak najlepszemi chęciami służenia dobrej sprawie, lecz którym poza teorytyczną znajomością przepisów prasowych i kodeksu karnego (czego nie kwestjonujemy) brak jest jeszcze pewnej b. ważnej rzeczy, bo doświadczenia życiowego i szerszego poglądu na to, czem jest właściwie druk i jaka jest jego rola historyczno-kulturalna w dziejach cywilizacji. Gdyby o tem wiedzieli, napewno przyśliby do przekonania, że nie wszystko można konfiskować. Nic dziwnego, że tego rodzaju sędziowie nie tylko nie zdają sobie potem sprawy z tego, czem są przysłowia, ale nie wiedzą również (fakt!), co to jest np. „Związek monistów," któremu w zacności swojej gotowi byli przypisać jakieś wrogie i burzycielskie zamiary względem całego rodzaju ludzkiege lub: jakie są prcgramowe i dążeniowe różnice pomiędzy „Międzynarodowym związkiem wolnomyślicieli proletarjackich" w Niemczech, w Czechosłowacji i Austrji. a t. zw. „wolnomyślicielami proletarjackimi" w Polsce, choć ci ostatni są niewątliwie szczerymi antyklerykałami i antireligjantami i pod tym względem uważamy ich za idących z nami w jednym szeregu. Ale nic ponad to.

Mamy wszelako nadzieję, że te chwilowe braki i uchybienia zawodowe naszych młodych cenzorów niezadługo ustąpią i w ich gorliwej dla Państwa pracy, przestaniemy się spotykać z różnemi niespodziankami, które im samym nie przyrroszą zaszczytu, a obywateli-wydawców i autorów mogą tylko narazić niesłusznie na materjalne lub moralne straty. Dalecy bowiem jesteśmy od pomawiania ich o świadome działanie na szkodę obywateli Państwa, mimo, iż są tacy, którzy utrzymują, może nie bez słuszności, iż wszelka władza w każdem państwie jest mafją kilkutysięcy przeciwko miljonom.

Piszemy to, wiedząc, iż zwracamy się do własnych polskich urzędników, a nie do zaborczych stupajek, których przecież traktowaliśmy w swoim czasie zupełnie inaczej. Władza jest pojęciem oderwanem. W praktyce zaśię bywa zawsze jeno taką, jakimi są jej wykonawcy. Zwłaszcza ci, od których inteligiencji, wiedzy i doświadczenia życiowego zależy takie czy inne stosowanie przepisu prawnego.

Berlin-Friedenau, d. 21 września 1928 r.

Do Redakcji „Wolnomyśliciela Polskiego"
w Warszawie.

DRODZY TOWARZYSZE!

List Wasz, skierowany do tutejszego „Wolnomyśliciela" (mowa o niemieckiem piśmie „Freidenker", przyp. Red.) został mi przekazany do bezpośredniego udzielenia Wam odpowiedzi.

Przysłowia, wymienione pod 4) i 5) są do dziś dnia w użyciu w krajach niemieckich o większości katolickiej i ja sam słyszałem je jeszcze w r. 1913 w ówczesnem Księstwie Poznańskiem i w Prusach Wschodnich.

Przysłowia pod 1) 2) i 3) są wprawdzie obecnie mniej używane, jednakże były one dawniej bardzo pospolite w sferach ludowych, zwłaszcza na początku XIX stulecia. Przysłowia, wymienionego pod 2), używa dotąd lud włoski.

Zbiór przysłów znajduje się w podstawowem dziele Karola Fryd. Wilh. Wandera, poświęconem wiedzy o przysłowiach, p. t. „Słownik przysłów niemieckich“ (Deutsches Sprichwörter- Lexikon“, 5 tomów, r. 1867-80, nowe wydanie 1883-1886). Wszystkie one są dozwolone bez wyjątku, choć w chwili ich ogłoszenia obowiązywała w Niemczech bardzo surowa cenzura dla pism i książek i nigdy żadne z nich nie było ani skonfiskowane, ani obłożone karą. Od chwili wydania wspomnianego dzieła wchodziły one w skład wielu Słowników przysłów i innych zbiorów tego rodzaju, nie przyczyniwszy sądom najmniejszego kłopotu.

Na ile polskie władze policyjne czy też sądowe dopatrzyły się w nich nieprzyzwoitości, tego nie wiem. Cech nieprzyzwoitości (a zapewne i w Polsce nie bywa inaczej) dopatrujemy się zazwyczaj w wyraźnym zamiarze obrażenia w sposób grubijański poczucia wstydu u osób normalnie wrażliwych. W inkryminowanych zaś przysłowiach każdy trzeźwo myślący człowiek nie dopatrzy się niczego więcej, prócz satyry o krytycznym kulturalno-społecznym charakterze, a więc w żadnym razie nie pornografji. Jeżeli, drukowane przysłowia mają ulegać konfiskacie, należałoby również zabronić ich ustnego używania. W jaki sposób ma się to odbywać: jest to zagadką, którą niemieckie władze dały mi do rozwiązania. Co ostatecznie ma na celu prześladowanie przysłów, które w swoim czasie odegrały b. ważną kulturalno-historyczną rolę w duchowej walce ludu, doprawdy niewiem. Czyżby robiło się to poto, aby korygować historję i retuszować dzieje kultury?... Może Wy sami postaracie się lepiej to wyjaśnić.

Jeżeli chcielibyście wyświadczyć mi miłą przysługę, powiadomcie mnie, jaki wzięła obrót sprawa dokonanej u Was konfiskaty. Już choćby ze względu na koleje mojej książki, rzecz ta interesuje mnie niepomiernie.

Z wolnomyślicielskiem pozdrowieniem

F. Wendel.

Kronika

Obrońcy boga żydowskiego.

Pomiędzy „Głosem Prawdy“ a „Naszym Przeglądem“ wynikł ostry zatarg. „Głos“ wychodzi z założenia, że nie należy wyrzucać z synagogi kogoś, kto przyszedł do tego przybytku bożego z wizytą — nawet wtedy, gdy ten ktoś jest dawnym lub świeżym wychrztą (fakt ten zdarzył się podobno podczas ostatnich świąt żydowskich). Nasz Przegląd „odpiera“ po sarmacku insynuacje Głosu, radząc mu, aby sam w swoim (katolickim) kościele zrobił najprzód porządek. Przy tej okazji „Przegląd“ nieprzytomnie wykrzykuje w stronę „Głosu“: „Nędzne bluźnierstwo“. Zaiste. Jak można wmawiać w boga żydowskiego, iż jest on „straszliwie ohydnym bogiem“. Jest to zuchwalstwo, jakiego Przegląd nie prędko winien zapomnieć Głosowi.

Przedewszystkiem: kto Głosowi szepnął do ucha, że bóg wogóle istnieje, że jakiś bóg może być żydowski—może z pejsami? Kto się poskarżył Głosowi, że jest on (bóg) ohydny? Nie było dotąd żadnego w tej sprawie doniesienia policyjnego — więc skąd ta inwektywa? Jeżeli żydzi twierdzą, że posiadają jakiegoś boga — to zapewne mają jakieś na to dowody, a że jest im z nim dobrze — to jest to w kieszeniach środowiska czytelników Przeglądu namacalnie widoczne. Jest doprawdy nieprzystojnie wmawiać w niego (boga), że się źle sprawuje. Nie sądzimy, aby tupet Głosu był tak wielki, iż będąc pewny swego stanowiska rządowego, wskazywał odważnie palcem, iż należy sprawę moralnego prowadzenia się boga żydowskiego wyciągnąć na światło dzienne—i ew. oddać ją (sprawę) w ręce energicznego prokuratora. Sądzimy, że do tego nie dojdzie — bo byłby to skandal nielada, a sędziowie musieliby znów może podczas procesu rozpatrywać poszczególne epizody przy dzwiach zamkniętych?

Po zakończeniu niniejszej wzmianki kronikarskiej zaciągnęliśmy języka i oto komunikują nam, że żydzi istotnie posiadają swego boga, że należy on do rodziny porządnych, solidnych bogów, że nigdy nie zalecał on swym ziomkom czynienia czegokolwiek złego; owszem: prosił nawet, błagał i zaklinał na wszystkie świętości, aby szczególnie wszystkich gojów kochać, jako siebie samych. — Jeżeli jest to prawda, to Przegląd miał słuszne prawo upomnienia się wyrządzonej krzywdy. — Podobno bóg żydowski posiada też wielką moc w wszechświecie — i potrafi zarówno karać jak i nagradzać ludzi.—Nie ulega zatem wątpliwości. ze „Nasz Przegląd“ [1]) zostanie za obronę boską wynagrodzony; co do nas zaś, to nie chcielibyśmy być w skórze Głosu Prawdy [2]) którego nie miną boskie cięgi za „nędzne bluźnierstwo“.

D. J.

„Ściana płaczu“.

Po uzyskaniu pozwolenia cara na postawienie w roku 1898 pomnika Mickiewicza, rozpoczęła się w rosyjskiej prasie czarnosecinnej naganka przeciwko tej decyzji. Wiadomo, że w wypadkach paroksyzmu nacjonalistycznego ludzie tracą miarę i w napaściach swych łatwo zachłystują się własną śliną. Jakiś półgłówek wystąpił wówczas z przypomnieniem, że miejsce, na którem miał stanąć (i stoi) pomnik Mickiewicza jest zbyt dla serca rosyjskiego święte. aby mógł tam stanąć pomnik polski. Oto kiedyś, kiedyś jakiś z carów przechodził czy przejeżdżał tą dróżką — a więc byłoby to profanacją dla prawosławia, gdyby i t. d. i t. d.

Epizod ten przypomniał nam się przy odczytywaniu protestów „całego“ świata żydowskiego z powodu rozpędzenia przez policję angielską modlących się żydów na jakimś placu w Jerozolimie. — Miejsce to, zwane „ścianą płaczu“ upatrzyli sobie żydzi jako „święte“, bowiem zdaje im się, że jest to jedna ze ścian pozostałych po zburzonej świątyni jerozolimskiej. Nie wystarczało im, że arabowie wykazywali przez długie wieki niezwykłą tolerancję i pozwalali tuż obok meczetu zbierać się „niewiernym“ dla odprawiania modłów. Tego im mało. Postanowili stopniowo okupować większy teren i osadzić się na dobre. Muzułmanie zorjentowali się w sytuacji i energicznie zażądali usunięcia najeźdźców. Żydzi podnieśli wówczas krzyk. Jakto, powiadają, my tu się modliliśmy, my tu dziękujemy stale bogu za wszystkie jego dobrodziejstwa (za zburzenie świątyni, za rozsypanie nas, jako piasek, po świecie i t. d. i t. d.), jużeśmy się do tej ściany przyzwyczaili, miejsce to jest największą naszą świętością (okropna miłość dla rumowiska kamieni czy cegieł) — i czy to wszystko nie winno wystarczyć, aby nasi przyjaciele angielscy uznali w y ł ą c z n e nasze prawo do owego miejsca?

Jak to nazwać: zabiera się komuś teren, sprytnie się na nim stopniowo usadawia — i zamiast przeprosić, iż uczyniło się coś niesłusznego (p. rabin radzymiński ufundował jakąś przegródkę [3]), więc winna ona być dla całego świata nietykalna!), ma się tupet wołania na cały świat: „Gewałt—chcą mię zabić!“ Jeszcze mało, żąda się „za to“, że się nieproszonych gości odgania od obcego terenu, aby Liga Narodów rozpoczęła wojnę z całym światem muzułmańskim i „oddała“ święte miejsce w niepodzielne władanie modlących się żydów.

Bratnia dusza szowinistyczna owego czarnosecińca rosyjskiego zmartwychwstała w „całym“ narodzie żydowskim.

J. Dawiński.

---

[1]) Do wiadomości p. boga podajemy bliższy adres: Warszawa, Nowolipie 7.

[2]) Tu zataimy bliższy adres.

[3]) Zapewne, aby niedopuścić podczas modłów do oczkowania pomiędzy płcią piękną a brzydką.

O stosunkach wolnomyślicielskich gdzieindziej.

Wolnomyśliciele socjalistyczni, t. zw. proletarjaccy w Niemczech, Austrji i Czechach zgodzili się w swoim czasie na współpracę z komunistami w organizacjach wolnomyślicielskich.

Trudne to było zadanie -- siedzieć w jednem zrzeszeniu z ludźmi, którzy z natury swej nie znoszą normalnej współpracy, natomiast starają się przemocą i przy każdej okazji, mimo że są w mniejszości, zdobyć kierownictwo organizacyjne. Ciągłe szczucie na najbliższych towarzyszy pracy, bezustanne inwektywy na najlepsze intencje, a nadewszystko — niedotrzymywanie przyrzeczeń w lojalnem i wspólnem występowaniu nazewnątrz, przeciwko istotnemu wrogowi: klerowi, jest dla nich codziennym chlebem. Tupet zastępuje u nich głębię myśli, a wieczne narzucanie innym swego punktu widzenia, rozbijanie wszelkich organizacji robotniczych, niewywodzących się z ich ducha, stanowi jądro ich „taktyki". Nic dziwnego, że już wszystkim — najbardziej nawet liberalnie odnoszącym się do nich socjalistom—obmierzła fałszywa, podstępna i obłudna taktyka komunistyczna.

U nas zrozumienie tych ludzi nastąpiło już dawniej — i musieliśmy dlatego wycofać się ze współpracy, która z istotnem wolnomyślicielstwem miałaby w tych warunkach mało wspólnego.

Obecnie rozpoczyna się normalne rozdwojenie pracy w proletarjackim ruchu wolnomyślicielskim w Niemczech. Nie mogą z komunistami wytrzymać nawet tacy entuzjaści wspólnej z nimi pracy, jak np. prof. Teodor Hartwig z Brna, przewodniczący Międzynarodówki Proletarjackich Wolnomyślicieli. Ostry w tej sprawie jego artykuł znajdujemy w ostatnim, październikowym numerze organu wolnomyślicieli i zwolenników Kremacji „Der Freidenker" w Berlinie.

Pozatem zarząd Związku Wolnomyślicieli Proletarjackich nie mniej ostro występuje przeciwko „komunistycznemu szałowi burzycielskiemu" (Kommunistische Zerstörungswut). W ciekawym artykule tym, lecz za długim na to, aby go tu przedrukowywać, czytamy następujące oświadczenie: „Przed nami stoi teraz zadanie ostatecznego oczyszczenia naszego frontu od tych niszczycielskich elementów".

Lepiej późno — niż nigdy.

„Odebrać kościołowi dziatwę!"

Szkodliwość wpływu kleru na wychowanie młodzieży dobrze ocenili socjaliści austrjaccy, zakładając stowarzyszenie „Przyjaciół dziatwy" o radykalnym, antyreligijnym programie wychowawczym. Stowarzyszenie liczy w Austrji 380 grup lokalnych, 9,500 członków, 67.000 dzieci, 4,000 instruktorów. W r. 1927 urządzono w 63 miejscowościach kursy dla kierowników schronisk, z frekwencją 2.000 słuchaczów. Jeszcze lepiej rozwija się ten ruch w Niemczech, gdzie 200.000 dzieci jest otoczone wychowawczą opieką socjalistów.

Powyższe fakty powinny służyć wskazówką dla Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci, aby i u nas nie wstydzono się wychowywać dzieci w duchu zdecydowanie antykościelnym. Jest to obowiązek wobec przyszłości socjalizmu.

PRENUMERATA

„WOLNOMYŚLICIELA POLSKIEGO" wraz z "ŻYCIEM WOLNEM"

WYNOSI: Rocznie — zł. 10.80, Półrocznie — 5.40, Kwartalnie — 2.70

Zagranicą 2 dolary (z przesyłką) rocznie.

Nr. niniejszy „Wolnomyśliciela Polskiego" wraz z „Życiem Wolnem" zł. 0.90

Adres Redakcji i Administracji: Królewska 16, tel. 118-14. Konto czek. P. K. O. 14200.

Redaktor: **Marja Jankowska.** — Wydawca: **Spółdzielnia „Bez Dogmatu"**

Zakł. Graf. B. Pardecki i S-ka z o. o., Warszawa, Pańska 4.